

GAZETA ARTYSTÓW

a 30 gr
pocztowa
na ryczałtem.

TYGODNIK ARTYSTYCZNO-SPOŁECZNY

Rok - 1

Prenumerata: miesięcznie 1.10 zł, kwartalnie 3.20 zł, półrocznie 6. — zł, rocznie 11. — zł.

2. XII. 1934

TREŚĆ NUMERU:

Kazimierz Czachowski:

Rola twórczości literackiej w Polsce

Helena Wielowieyska:

Krótkie spacery

Zenon Drohocki:

Przyczyny rozłamu

Alfred Łaszowski:

Alicja i grosz

Stanisław Kramarczyk:

Kometa Halley'a

J. Fr. Kmietek:

Walka o kontakt

Poezje:

J. A. Frasik, St. Pięta, St. Telega

Kronika teatralna i filmowa

Reprodukcje:

Bracque'a, Marczyńskiego, Lipschitz'a, Rouault'a

STANISŁAW PIĘTA

Juljanowi Przybosiowi

Dynów^{*)}

W obłoku z woni tułata się gwiazda zamulona w sen —
pocóż pytać o melodję chmur wilgotną jak śpiew uwiecznionych psów, —
gdy chłop na lewym wzgórzu
co wieczór orał niebo stratoswane czujnymi różami;
z krzyczących oczu błękitny wypaść pieniądz znów
i miasto wmurowane w szkło
odwiózł na północ w siwy sznur dymu ukołysany pociąg.

Dlaczego palce szukały ciszy sekund? —
w krew, w krew mleczne włosy oddała.
Z powrotem jaskółki odśpiewane z miasta
przyniosły w dzióbach gałąź najtkliwszego dymu.

Już żółta rdza cegieł
ciężka jak dzwony wśrubowanego w tęsknotę wieczoru
idzie,
u studni na prawo zmierzch oczy dziewczętom błękitem poufale poi
i krzyk brudnych żydziąt przedłuża ulice aż dotąd
gdzie błąd rabin długie ręce podaje w złoto wfalowanym polom.

Wplecioną w woń gwiazdę oczy zamknęły na skobel —
cóż że drożyny świerszczy
z miasta przywlokły radość odszeptaną zielenią u wylotów ulic,
szyny trysnęły krwią, na północ pociągnęły ciężar spuszczonej ręk;
za wzgórzami, wzgórzami
oplety ciszą drutów ptakal z oczu wypłyły przed wieczorem pieniądz
a tam gdzie stary chłop niebo orał stratoswane mokremi różami
wiatr znów wyszeptał matkę; pion kłujących kwiatów.
Gdy błąd rabin pociągnął ulicę kasztanów na prawo,
tam San płaczący ciszą odchodzących topól
przybliżył się ku plecóm dziewczyn wilgotnemi pyskami chmur —
wtedy oplułem drożyny świerszczy zatrutą smutkiem krwią.

Brudne żydzięta obtłukiwały krzykami mój żal,
w szkło, w szkło wrosnięty, nawiany dymem Dynów
ciągle czekał, szeptem cegieł odpływał do pól.
Raz tylko zawył oczami z igieł piersi,
aż wypaść z nich srebrem kwitnący półksiężyc —
szyny przebiły potem móżg muzyką szklanych drutów
prowadząc drożyny świerszczy, bladego rabina, mokry pieniądz
i gwiazdę w woń wspanianą na twojem siwym ramieniu.

Wróciłem syty szeptów chtopiec
ocierać palcami na pułapie twoje oczy, matko, zaginione w domu.

*) Z pierwszej książki poetyckiej p. t. „Alfabet oczu“, która ukazała się w ostatnich tygodniach.



Bracque:

Martwa natura.

STANISŁAW TELEGA

Oczy i noc

W poranku oplukanym ze snu
z błoi wybuchło słońce: kipiący majem dmuchawiec
W nagich kwiatach drzewa zjeżyły, srebrną sierść świtu.

Lśni, pachnące ptakami, niebo jak granatowa skóra krów.
Wiatr nadmuchał z powietrza błękitu,
zsywał na skrzydła świerszczom w skoszzonej trawie.

rozszerz naszą radość tem błoniem i tą wysoką ścieżką
błękitem czy złotem twoje tłumaczycy oczy
od kwiatów pachnąc szeptem włosów
i srebrne róże twych piersi

burząc światu pod prąd młodość spletaną i ciężką
krnąbrny mój upór w tobie roztajał, w kolczykach loków
twoich spoczął

W trawach burza zapachów i jakże wolno rozwożą dziei
dalekie głosy,
wiatr zdmuchniętem srebrem szeleści.

czy jesteś tylko drapieżnym śpiewem
krwi — pragnącej pożaru?
błyskawicą wypitą ustami?
miłość czem jest, nie wiem
może tym złotym paskiem, który zapina twoją sukienkę
białą?

kiedyś usta twe będą chusteczką, w którą wytrze pocałunki
mąż

kupi ciało
cieplem kwileniem dziecka, wiosną pieniędzy

Przemija w locie łątki czas od łątki pędzsy.
Dzień kłujący światłem nademną i nad tobą,
Słońce modre jak czyjaś tęczęwka.
usta ci drżą

właśnie tu, za tą ścieżką, wśród krwi niespokojnego upału
w szelestach wypruty z nerwów szept mój cię odgadł
i odszukał

oczy na gwiazdy zamień
jesteś ze snu zbudzoną, złotą nocą,

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

Ten wieczór

Kwitną na polach wiosną w dzwoneczkach kwietnych i na łące,
w wieczornej cichej ziemi, w bruzdach, zagonach i po
drogach gdzie
w śpiew wiatru, w szum wody, w złoto upadających wierzb
i dal
owinięte moje życie, moja młodość, mój sen —

A niech tylko wiosną sina śniedz zimy, gdy południami umyka
wysypie na murawy stokroci, które dłońmi pozbierać w skrzy-
piący ranek, —
hej jasne obłoki, szumiące i krągłe i chłodne, jak mój żal,
płynące jasną strugą, polem, lanem —

I szumieć w żytnej doli, w pszenicznej chwiejbie w miedz
zapomniane skrzypce,
kiedy zawsze w lipcowe południe śpiew pogody,
młodość wiatru, złamana gałąź, muzyka
i tylko dzwonkiem być i dzwonić, tylko trawką wschluchaną
w gorące miodne lipce.

To moje proste zdziwienie, które w oczach długo poniosę
jak zieloną, kwitnącą gałąź wiosny —
w siwe ściany zagrody, w brzozywy krajobraz, podparty
wysoką pieśnią mi rosnąć.
bieda, wierzb

Tak kocham odlot dnia, wijący się po jeziornej tafli chłód,
zerwane echa polne i wiatr i wichurną mocą rozmowę —
i białe gęsi, którym najprościej zanieść błonie do zagród,
wieczorną krzywdę tobie, od progu odpływająca ranem
nieurodzonym słowem.

Jakże samotnej wyspiewam na uboczu rozrostły smutek,
i w polnej nucie ugorny, od pół dzwoniący już na mnie dom —
w trawach rosnę, za plugiem chodzę, strumieniem odpływam
i wróćę
i żal mi... że muszę. Że do ogromu, do znaku podnoszę
trawy żdźbło.

Od domu codziennie wiatr i dzień i gorycz i dokąd?
I komu ten sztandar nieść, co nocą serce w wierszach odmyka —
Niech ja wam kiedyś brzozy odejdę na zawsze w błonie,
w obłok,
niech wam zaśpiewam śródziemnie w nadbrzeżnych, dro-
bnych kamiakach.

To moja cisza łąkowa, którą żalnie kwitnąć muszę:
która gorzko karmić muszę aż się w jesień wysmuci:
w ten wieczór ogromny błoniem, i kiedy bliżej, w doliny
ściągną wzgórz,
kroplą smutku upadam w ziemię. Zginąć. Wrócić.



J. Lipschitz:

Rysunek.

Krótkie Spięcie (kurzschluss 3-ech rzeczywistości)

OSOBY:

Conférencier
Autor
Teatreus ex machina
(duszek teatru z reflektorem na głowie)
Reprezentant Publiczności
Dziubas
Jolie Incomprise
Stinnes, później Bezrobotny
Pierwsza Naiwna
Stopień Płciowości
Dwaj statyści
Konrad, król wicz duński

Rzecz dzieje się na scenie, w świadomości i w podświadomości Autora. Dekoracje proste. Te, które ustawiają przed próbą, zielone. Biurko, ławka.

Conférencier:

(Wchodzi prowadząc Autora). Państwo pozwolą przedstawić sobie Autora naszego dramatu, a raczej komedji del arte, a tragedji della realtá. Choć coprawda Autor nazywa to skeczem, a publiczność kiczem. Więc zostawiam panu pustą scenę i prawie pustą widownię i niech genjusz teatru wspomaga pański osobisty genjusz. (Wykrzywia się do niego szpetnie i wychodzi. Grzmoty. Teatreus wskazuje przez okno).

Teatreus:

Jestem. (Kłania się Autorowi, potem publiczności).

Autor:

Widzę, ale kim pan jest?

Teatreus:

Ja jestem Teatreus Ex Machina. Ten, który sprawiał, że publiczność śmiała się, klaskała i płakała. Teraz chciałbym sprawić, żeby wogóle była i nie wywiała.

Autor:

A jak kawaler ma zamiar tego dokonać?

Teatreus:

(Staje w pozie Chudogęby i mówi z głupia frant) „Z reflektorem i pustką, Będę sobie latał w kółko”. Narazie przychodzę do pana z dobrą radą: niech pan sobie wybierze z publiczności reprezentanta do współpracy i w razie klapy zrzuci pan na niego całą odpowiedzialność.

Autor:

(Do siedzącego na widowni pana); Może pan będzie łaskaw. (R. Publiczności wychodzi na scenę, prosi swoich eksasjadów z widowni o podanie mu krzesła i siada na nim z boku sceny. Teatreus ubiera go w Oko i Ucho i rozwiesza wielki afisz: „Poszukuje się bohatera dramatu, warunki według umowy”, Wychodzi, Autor zakłada wieczne pióro za ucho i grzebie w papierach na biurku, kiedy wchodzi Dziubas), Czemu mogę panu służyć, jestem Autor.

Dziubas:

Widzi pan, to właściwie pan mnie potrzebuje, a nie ja pana. Jestem bohaterem dramatu. (Pokazuje afisz).

Autor:

Och, przepraszam, że się panu przedstawiłem, przecież znamy się od dawna. Niechże pan siada.

Dziubas:

(Siada). Nie szkodzi. Zdażyłem już przyzwyczaić się do podobnego traktowania mnie przez autorów. Widzi pan, jestem zwykle pierwszym gościem w takich okolicznościach. Zjawiam się pierwej nim mnie poproszą.

Autor:

Daruję pan, ale w takim razie nie potrzebowałbym robić sobie kosztów. (Pokazuje afisz).

Dziubas:

Czasem we fraku na ekranie czy w cudnej lśniącej pyjamaie czekam na panie.
Czasem w sportowym ubraniu wyjeżdżam na scenie w góry, czasem na plaży z panią i wtedy do figury.
Cylinder, pyjama, frak, niezbędne akcesoria, gdyby nie forsę brak, kocham jak Góljat.

Autor:

A, pan Dziubas. (Witają się i cieszą. R. Publ. ziewa).

Dziubas:

O, już idzie moja pani. Jolie Incomprise... cudne imię prawda?

Autor:

(Sylabizuje). In-com-prise? (J. Incomprise wchodzi)

J. Incomprise:

O tak, Niezrozumiana. Przez nikogo. Własny, stary, bogaty mąż, Stinnes Tysiącputdowy... chodźże tu stary ramolu. (Wchodzi Stinnes, do Dziubasa) tylko ty jeden, choć tak młody, ale twój wyższy umysł... (ściskają się R. Publ. zasnął tymczasem i ze strasznym hukiem spada ze stołka. Rejwach).

Autor:

(Drąc włosy z głowy). Ratunku! (Wchodzi Teatreus).

Teatreus:

(Budzi R. Publ., który z rezygnacją pozwala się usadzić spowrotem, bierze Gazetę i czyta tyłem do sceny. Wpada P. Naiwna).

P. Naiwna:

(Kryczy). Panie autorze, to nieładnie! to ja miałam być jego partnerką, a teraz co? (Płacze).

Autor:

Zdaje się, że mój młody przyjaciel zaczyna działać. (Do P. Naiw.). Angażuję panią jako pierwszą naiwną.

R. Publiczności:

(Wściekły). Z taką długą brodą. (Pokazuje z jaką, P. Naiw. obraża się).

Autor:

Słuchaj mała. Tu niema żadnych żartów, ta pani ma wielki talent, zaraz ci go przegstawię... Mister Stinnes...

Stinnes:

Yess sir.

Autor:

Panie Stinnes. Jest pan szczęśliwy, ma pan cudowną żonę...

Stinnes i Dziub:

O yess sir.

P. Naiwna:

(Piskliwie). No sir.

Autor:

(Do widowni). Któż ją zrozumie, jak nie państwo. Ale trzeba dać się jej wygadać. A tu wszystko kosztuje: Dekoracja, inscenizacja, trawestacja, no a w końcowym efekcie kolacja. Jednym słowem... (Robi ruch liczenia pieniędzy R. Publ. kiwa na Teatrerusa).



JA JESTEM KONRAD, KRÓLEWICZ DUŃSKI!

Teatreus:

(Kiedy telefon dzwoni). Pan autor proszony do telefonu.

Autor:

W tej chwili nie mogę. (do Stinnesa). Nie umie pan swojej roli. Powinien pan teraz wyciągnąć książeczkę czekową. (Bierze go za rękę i podnosi ją do góry, wtedy widać w niej ładnych rozmiarów bombę). Przepraszam, ktoś telefonuje do mnie. (Puszcza go przestraszony i pędzi do telefonu).

Zmiana światła.

(Scena niema. Wszyscy stają się b. ordynarni. Siadają zrezygnowani na ławce. Stinnes zakłada na piersi kartkę: Poszukuję jakiegokolwiek pracy).

Dziubas:

(Do bezrobotnego) Więc co znami będzie?

Stinnes-Bezrob.

(Wzrusza ramionami). To co zawsze.

Dziubas:

No Ranusiu! (pokazuje na R. Publiczności).

P. Naiwna:

(Siada na kolanach R. Publiczności).

R. Publiczności:

Jak on cię wołał? Franusia?

P. Naiwna:

Nie, Ranusia, Rana Społeczna. Papa i mama nazywali mnie Rannette. (Zastaniają się Gazetą).

Bezrobotny:

Tak, Tu Rania i pan Reprezentant.

Mogło być gorzej.

Ale kto o nas pamięta?

Wystraszyłem autora i kto nam scenariusz ułoży?

J. Incomprise:

My lekkomyślni i słabi żyjemy jak nam się zdarzy. Radością jesteśmy i grozą narzycz marzeń.

Co będzie?

będzie chmurnie i będzie pogodnie i cudownie będzie i strasznie.

Jesteśmy rzeką, krzewem, żyjemy powoli, nieważnie, motorem, bodźcem przygody jest: Niewiem.

Bezrobotny:

Pięknie. Ale to jest rola Jolie Incomprise, a nie Rany Społecznej.

Ja myślę to załatwić uprzejmie i grzecznie jak gdyby nigdy nic.

Hej, Teatreus, to z bombą to był taki wic, gest teatralny, a to co się działo, to był tylko prolog.

R. Publiczności:

(Zdejmuje z kolan P. Naiwną i dobiera się do biurka Autora). Najpierw zbadajmy czy warto. Uważam to za jeden z moich obowiązków. (Przegląda papiery).

Bezrobotny:

Pan? A kimże pan jest?

R. Publiczności:

Na codzień neurolog, a teraz jak pan widzi oko i ucho sali.

Autor:

(Wchodzi). Przed chwilą zachowywał się pan niemożliwie, a teraz jest pan niedyskretny.

R. Publiczności:

Więc chce pan współpracy ze mną czy nie?

Autor:

R. Publiczności:

Muszę się dowiedzieć czy ma pan co do powiedzenia, czy nie.

Aktorzy:

On kwestjonuje naszą rację bytu.

Autor:

Ale niech się pan nie dobiera do mojej podświadomości (ze wsrętem). Do odpadków mojego życia psychicznego.

R. Publiczności:

(Recytuje, kompletny bałwan). Przepraszam. Podświadomość nie jest wcale odpadkiem życia psychicznego, lecz materją pierwotną, z której tylko drobna cząstka dosięga jasnej powierzchni świadomości. Ale ów nieujawniony zrab istotny jest pełen życia twojego i nas wszystkich.

Autor:

To jest przemoc.

R. Publiczności:

Tak jest. Przemocą wymuszam na tobie to, co ukrywasz, twój teatr. Muszę zbadać stopień płciowości pana. (Autor słabnie, aktorzy podtrzymują go, wchodzi Stopień Płciowości, konstrukcja niewielka).

R. Publiczności:

(Wyciąga z kieszeni centymetr i mierzy go). Pan jest stanowczo za mały. Nawet na tę scenkę.

Aktorzy:

Pan jest zamały, zamały, zamały.

J. Incomprise:

(Śpiewa). T'es'cor trop petit mon ami t'es'cor trop petit.

P. Naiwna:

(Piskliwie). Pan jest za małjutki.

Wszyscy:

Co zginęło, trudno tego wetować. Płone są wspominki niegdysiejsze.

P. Naiwna:

Zatnij pióro i rzewliwe wiersze składaj, odejdzie smutku połowa. Cały ból się zamieni na słowa i ukoi przygnębienie pierwsze.

Wszyscy:

Co zginęło, trudno tego wetować płone są wspominki niegdysiejsze.

P. Naiwna:

Gdy ze smutku rozpęka ci głowa, żalność — bzdyczy w sercu niby szerszeń — rytmy stukaj, rymy piękne przesiej, nie zaszkodzi popoetyzować.

Wszyscy:

Co zginęło, trudno tego wetować. (Wychodzą, zostaje Teatreus i Autor).

Autor:

(Do wchodzących 2-ch statystów). Proszę ustawić dekoracje. (Ustawiają zieloną dekorację i wychodzą).

Ten liryzm, ten Kochanowski, rozebrały mnie troszeczkę. Myślę, że oni będą się kochać. Czuję ich miłość w sobie.

Teatreus:

To źle, to bardzo źle. Miłość jest niesceniczna. Znam w miłości właściwie tylko jedną sytuację, a i to nie można jej w teatrze pokazać.

Autor:

(Zamyślony). To niech operują dźwiękiem a nie sytuacją, swoim osobistym wdziękiem a nie akcją. (Wychodzi)

Teatreus:

(Do odchodzącego). Z widowiska zrobisz rykowisko. (Do widowni) Ja jestem teraz deus Sex machina (Wychodzi).

J. Incomprise:

(Wchodzi z Autorem). Czuję się już stara. Rania może jeszcze długo zarabiać — ja nie. Jesteś moją ostatnią stawką. Nie chcę od ciebie miłości — daj mi przytułek choć tu, na scenie. Mam w sobie patos tragedji klasycznej i codziennego nieszczęścia.

Autor:

(Ze smutkiem). Ten stopień pćciowości, ten zamaly stopień pćciowości. Nie mam czego sublimować.

J. Incomprise:

(Lirycznie). I to mnie boli, to mnie boli najbardziej. (Wychodzi).

Dziubas:

(Wchodzi z Naiwną).

Trzeba to jakoś powiedzieć, jakoś się porozumieć bardzo łatwo się minąć i znów zagubić w tłumie.

(Przechodzą pod zieloną dekorację).

P. Naiwna:

Można sentymentalnie...

Dziubas:

...i można na okrutno...

P. Naiwna:

można twoje oczy i ręce...

Dziubas:

...i można: przyjdź do mnie jutro.

P. Naiwna:

Czasem znów, jak wstydliva jałmużna potoczy się z brzękiem układne i martwe — chcę panią poprosićo rękę. Czasem zachwył wiosennej ulewy...

Dziubas:

czy uniesieñ grad

P. Naiwna:

io ti voglio bene, Y love You,

Dziubas:

...czy: mom cię rad. (Obejmuje ją).

Ale ty nie mów nic.

P. Naiwna:

Mży świt.

Dziubas:

Trawa kocha.

P. Naiwna:

Czuję drżenie i świst.

Dziubas:

Ziemia kocha. Jest ciężka, wilgotna...

P. Naiwna:

Park ją dławi drzewami, muśnięciem trawy dotknął. Na ustach wielobrzeżny liść (wchodzi Teatrus)

Dziubas:

...liść klonu.

Rosa jest jeszcze nocą.

P. Naiwna:

Rośną noc chłonę.

Dziubas:

Wstrzymam wschód co w groźną wypływa lunę.

P. Naiwna:

W powiekach zamknę świt.

A w wargach pocałunek.

Teatrus:

A Autor?

Dziubas i P. N.:

(Patrzą w lewo). Niema. (Patrzą w prawo). Niema. (Wychodzą obejmując się).

Teatrus:

I miłość zakwita. I miłość zakwita jak kwiat. I miłość zakwita jak kwiat koło pieca w nieopalanym pokoju.

R. Publiczności:

(Wchodzi z Bezrobotnym). Dlaczego schodzicie ze sceny? Czy naprawdę nie macie tu nic do działania? A może lepiej czuliście się w roli Stinnesa i w jego rzeczywistości? Czy też uważacie, że nikogo nie obchodzi wasze obecne życie?

Bezrobotny:

Moje życie jest poza sceną. Tu — wszystko będzie tylko czynnością zastępczą.

R. Publiczności:

Sztuka jest czynnością zastępczą.

Bezrobotny:

Sublimacja — to mi nie odpowiada.

R. Publiczności:

Sublimacja odbywa się teraz u autora, i właśnie dlatego macie panowie wolną rękę. Messieurs faites vos jeux.

Bezrobotny:

Czy mamy robić rewolucję socjalną?

Teatrus:

Nie, teatralną.

(Dwaj statyści wchodzi niosąc transparenty: I. Precz z baronami teatru. II. Niech żyje 3-cia rzeczywistość. III. Pracy i chleba dla bezrobotnych inteligentomanów. Ustawiają się w głębi pod transparentami, Bezrobotny przyłącza się do nich. Wchodzi Autor, Jol. Incomprise, P. Naiw. i Dziubas. Autor daje im kartki z rolami).

Autor:

Zaczynamy próbę. Scena miłosna. (Ustawia Dziubasa i J. Incomprise pod zieloną dekoracją).

J. Incomprise:

(Czyta) Kapitał jest fikcją.

Dziubas:

(Czyta) To i miłość także będzie fikcją.

R. Publiczności:

I on to nazywa nazywa sceną miłosną.

P. Naiwna:

Przecież ja mam pustą kartkę.

Autor:

Niech oni się targują, niech grają. Ty kochaj. (Obejmuje ją).

R. Publiczności:

Tak, niech grają. Ale jeżeli to ma być poważne, wzniosłe, jeżeli to ma mnie broń Boże wzruszać dostojnością bólu czy czego tam, to daruj, ale ci dwoje najmniej się do tego nadają. A jeżeli zwykła scena miłosna, to pani P. Naiwna należy do mnie — do publiczności.

Teatrus:

Pan doktor będzie łaskaw. — (Wkłada mu pod pachę wielki termometr, który skacze). O, czyżby pan miał jakąś własną wizję?

Autor:

Proszę bardzo, chętnie będę pisał wspólnie z panem. (Wychodzi z R. Publ., J. Incompr. i Teatrusem. Na pierwszy plan występują P. Naiwna i Dziubas. Światło na scenie gaśnie, tylko oni oświetleni reflektorem, a w tyle statyści oświetleni jaskrawo czerwonym światłem).

P. Naiwna:

Pan jest miły, pan mi się podoba. Podobno jest pan zakochany.

Dziubas:

Byłem zawsze, ale w tobie, nawet nim cię poznałem, ale widzisz, (czule) celem podświadomości jest parcie ku światłu. (Pokazuje na statystów). Można wyładowania się w czynię. Widzisz? wołają mnie. (Namiętnie). Kocham cię, jesteś moim szczęściem, moim świętem, moją niedziela.

P. Naiwna:

(Równocześnie statyści śpiewają mruczendo „O cześć wam panowie magnaci“).

Niedziela przybiegła, zaćwierkała usteczkami koloru wiśniówki figluje majówkową główką, została.

Tańczy tango majowe i pije wódkę z kwitnącej jabłoni. Weselem kryształowem się zasłoni,

z ciepłym bzem do ogrodu się wymknie jeszcze czuję ją tutaj koło mnie — nad kieliszkiem ze smutku ryknę, tak ją lubię, tak lubię ogromnie...

A tu już z szyby wstaje melodją ogłupień natrętny poniedziałek, dzień, który ma w dupie. (Statyści przestają śpiewać, Dziubas odchodzi do nich w głąb, cofając się i patrząc na P. Naiwną, która żegna go ręką i chusteczką Statyści wychodzą z transparentami. Wchodzi Teatrus i R. Publiczności).

R. Publiczności:

Proszę nie zajmować się tem, czem nawet ja sam się nie zajmuję.

Teatrus:

Chcę przemocą wymusić na panu to co pan ukrywa — pański teatr. Muszę zbadać stopień pćciowości pana.



najwyższy „Czas“.

Zmiana światła.

(Słychać hałas kroków. Światło zmienia się na takie jakie było po scenie z bombą, kiedy nie było Autora. Teraz go także niema a sytuacja jest identyczna co w tamtej scenie P. Naiwna siedzi na kolanach R. Publ itd. Wchodzi ołbrzymi Stopień Pćciowości (najlepiej maszyna z wielką ilością trybów, kółek, łożków i t. p.), z którego wchodzi Konrad. Na nagiej piersi pod peleryną ma krwawiące serce. Pierze wulbie.

Teatrus:

(Pompacyjnie) Le voilà. (J. Incomprise dowala się do Konrada).

Konrad:

(Przekreśla ją ruchem ręki) Przebóg, cóżto za szkarada?

J. Incomprise:

Jak śmiesz draniu!

Konrad:

Jak śmiesz się tak do mnie odzywać. Do mnie, który na skrzydłach własnego szaleństwa nosiłem przez tyle wieków ciężar poezji. Bracia! Dajcie mi być nadal filarem dramatu, bo na mych wątych barkach człowieka-aniola, jak na barkach Atlasa, spoczywa gmach myśli ludzkiej. (Do P. Naiwnej) A ty, nieszczęśliwa zgubiona, idź do klasztoru, byle prędzej.

Bezrobotny:

Kimże pan jest do cholery i ciekaw jestem co się z nami wszystkimi stanie, jak Ranusia pójdzie do klasztoru?

Dziubas:

(Z pięścią) Coś za jeden?

Konrad:

(Z rezygnacją) Mogłem być czems — będę niczem. Spóźniłem się, bo oto nadeszła już trzecia rzeczywistość. Runęły spróchniałe krzyże przesądów. Był pan Dziubasem, a Autor chce pana zrobić alfonssem. Biedna Ofelija jest jak widzę raną społeczną razem z szanowną mamusią, a pan — człowiekiem nieszczęśliwym. (Bierze ze stołu bombę i stojąc na środku z patosem) Być, albo nie być, panowie.

Wszyscy:

Konradzie!

Konrad:

Ja jestem Konrad, król wicz duński.

Wszyscy:

Pan jest zaduży, zaduży.

Bezrobotny:

Duński, czy hiszpański, to już obecnie wszystko jedno. Jest pan zwykły Wernychochoł i chciał pan nam tu zgotować ładne wesele. Ale nie mój panie, bombka należy do mnie. Miałem wysadzić nią waszą starą wybrakowaną rzeczywistość. Ale zdaje się, że teraz ja się spóźniłem.

Konrad:

Rozumiem. (Deklamuje) Poezjo precz, jesteś tyranem.

Bezrobotny:

Ależ panie, skądże...!

R. Publiczności:

Stop, panie Bezrobotny. Niech się pan tak bezczelnie nie wyzywa w cudzej roli. Teatrus. Chodźno tu zrobić porządek, bo panowie zamienili role.

Dziubas:

Idjoto! Role! Tu niema żadnych ról. Tu jest właśnie życie. (Pokazuje kolejno aktorów). I my i one, i jego szaleństwo. I to ześmy się tak poza czasem spotkali, kiedy niema autora.

P. Naiwna:

(Drze się). A tyjatr, to Autor i wy, i my się przyśli wami bawić.

(Wszystkie światła gasną, słychać krzyki: „krótkie śpięcie, to ten mały z reflektorem, kurzschluss, i t. p. Kiedy światło się zapala, na scenie siedzi za swoim stołem Autor i R. Publ., zboku sceny, jak na początku, ale bez Oka i Ucha.

R. Publiczności:

No więc?

Autor:

(Powoli). ...Myślę.

R. Publiczności:

(Wstaje, ze złością). To myśl pan prędzej, bo ja czekam.

KONIEC

Teatrus:

(Wchodzi na scenę z mandoliną i akomponując sobie).

Mijanie się — człowiecza sprawa, Publiczność, Autor i Aktorzy. Każdy wam serce swe otworzył i dla was stąd zabawa.

Na tej maleńkiej scenie: temu Stopień Pćciowości sprawia delegliwości a temu — krwawi serce.

Dzisiaj szuka autora, natyka się na wczoraj tam Psychoanalityk tutaj znowu kobity i rewolucji zmora.

Mijanie się — człowiecza sprawa. Publiczność, Autor i Aktorzy. Każdy wam serce swe otworzył i dla was stąd zabawa.

Demoralitet ten grany był w marcu b. r. w „Cricot“, teatryku eksperymentalnym Zaw. Zw. Art. Plastyków w Krakowie. Muzykę do piosenek komponował S. Cybulski. Dekoracje A. Gerzabka. Reżyserja M. Katza.